

Przegrana wojna z narkotykami

6 stycznia 2014

Pablo Escobar powiedział mi: – Jeden strzał w głowę to za mało. Musisz strzelić dwa razy, tuż powyżej oczu.

John Velasquez, znany jako „Popeye” [1], siedzi na białym, plastikowym krześle na więziennym podwórzu.

– Możesz przeżyć jeden strzał, ale nigdy dwóch. Rozcinałem ciała ofiar na kawałki i wyrzucałem je do rzeki albo zostawiałem na miejscu. Wiele razy przejeżdżałem przez Medellin, gdzie porywałem i gwałciłem kobiety. Potem je zabijałem, a ich ciała porzucałem na śmietniku.

Pilnuje go trzech strażników. Jest jedynym więźniem w tym ogromnym budynku. Wieża strażnicza, specjalne zabezpieczenia w drzwiach i sieć nadzorujących kamer – to wszystko istnieje i działa tylko dla niego. Naczelnik więzienia o maksymalnie zaostrzonym rygorze w Combita, trzy godziny jazdy na północny wschód od stolicy Kolumbii, Bogoty, dał mu godzinę na opowiedzenie swojej historii.

Dla mnie spotkanie z Popeye było jak otwarcie bram piekła.

Popeye był prawą ręką Pablo Escobara, szefa kolumbijskiego kartelu z Medellin. Do swojej śmierci w 1993 r. Escobar był najpotężniejszym baronem narkotykowym na świecie. Uprzemysłowił produkcję kokainy, kontrolował 80% globalnego handlu tym narkotykiem i stał się jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Jego kartel zlecił zamordowanie 30 sędziów, ok. 450 policjantów i wielu więcej cywili. Jako szef ochrony Escobara, Popeye stał się prawdziwym ekspertem od porwań, zabójstw i tortur.

Velasquez zyskał przydomek Popeye, gdy pracował jako steward w kolumbijskiej marynarce wojennej. Uprowadził wtedy Andresa Pastranę, ówczesnego kandydata na burmistrza Bogoty i

późniejszego prezydenta. W 1989 r. zdobył broń, której użyto do śmiertelnego postrzelenia kandydata na prezydenta Luisa Carlosa Galana. Brał też udział w przygotowaniach do zamachu bombowego, w którym miał zginąć były prezydent Kolumbii Cesar Gaviria. Działając na rozkaz Escobara, El patrone, kazał nawet zamordować swoją dziewczynę Wendy, kolumbijską królową piękności.

– Zabiłem ok. 250 ludzi, a ciała wielu z nich pociąłem na kawałki. Nie wiem dokładnie, ilu ich było – mówi Popeye. –Tylko psychopaci liczą swoje ofiary.

Popeye jest bladym, 50-letnim mężczyzną o piskliwym głosie. Jest psychopatą, który nie liczy swoich ofiar.

Im dłużej mówi – o swoich morderstwach, o wojnie z narkotykami i piekle, jakie wraz z Escobarem urządzili w Kolumbii, a które teraz powtarza się w Meksyku – tym mniej ważne okazują się pytania, które przygotowałem z myślą o tej rozmowie. Nagle zrozumiałem, że mogę wyrzucić swój notatnik na śmietnik, gdyż wszystko sprowadza się do jednego:

– Popeye, jak możemy powstrzymać ludzi takich jak ty?

On milknie na chwilę, po czym mówi:

– Takich jak ja nie można powstrzymać. To jest wojna. Oni tracą ludzi i my tracimy ludzi. Oni mają coraz mniej skrupułów, a my nigdy nie mieliśmy żadnych skrupułów. W końcu możesz nawet wysadzić samolot tylko dlatego, że myślisz, iż na pokładzie znajduje się prezydent. Nie wiem, co mielibyście zrobić. Może zacząć sprzedawać kokainę w aptekach? Siedziałem w więzieniu 20 lat, ale wojny z narkotykami nie wygracie tak długo, jak długo można na tym zarobić tyle pieniędzy. Nigdy jej nie wygracie.

Siedzę twarzą w twarz z zawodowym zabójcą Popeye – uosobieniem zła wprost z piekła. I obawiam się, że ten morderca może mieć rację.

Wojna z narkotykami to najdłuższa wojna naszych czasów – toczy się od ponad 40 lat. To nigdy niekończąca się walka z biznesem wartym 500 miliardów dolarów.

GLOBALNA WOJNA Z NARKOTYKAMI

17 lipca 1971 r. ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon uznał nadużywanie narkotyków za główny problem Ameryki. Narkotyki stały się wrogiem publicznym numer jeden. Jego słowa były salwą otwierającą „wojnę z narkotykami”.

Po dziś dzień wojnę tę prowadzi się z każdym, kto ma kontakt z kokainą, marihuaną lub innymi narkotykami. Walczy się z hodowcami koki w Kolumbii i maku w Afganistanie, walczy się z kurierami, którzy przemycają liczone w kilogramach partie narkotyków, nierzadko ukryte w żołądku; walczy się z producentami metamfetaminy w Europie Wschodniej, z dzieciakami uzależnionymi od „kraka” (kokainy) w Los Angeles i z każdym, kogo się złapie z jednym gramem marihuany w kieszeni; walczy się z kartelami narkotykowymi w Meksyku lub zawodowymi mordercami, takimi jak Popeye. Niewiele jest miejsc na ziemi wolnych od tej wojny – wojny globalnej jak bary McDonalda.

W 2010 r. narkotyki zażywało ok. 200 milionów ludzi. Ta liczba nie zmienia się znacząco od wielu lat. Jak się szacuje, rocznie na całym świecie wytwarza się ok. 40 tys. ton marihuany, 800 ton kokainy i 500 ton heroiny. Produkcja nie rośnie, tym jednak, co wzrosło wielokrotnie, są koszty tej niekończącej się wojny.

We wczesnych latach 70. administracja prezydenta Nixona wydała na wojnę z narkotykami ok. 100 milionów dolarów. Dzisiaj, pod rządami Baracka Obamy, kwota ta wzrosła do 15 miliardów dolarów – 30 razy więcej po uwzględnieniu inflacji. Istnieją nawet przybliżone szacunki pośrednich i bezpośrednich kosztów całej, trwającej ponad 40 lat wojny: w samych Stanach Zjednoczonych sięgnęły one 1 biliona dolarów!

W Meksyku w ostatnich 6 latach wojna z narkotykami pochłonięła

ok. 60 tys. ofiar. Amerykańskie więzienia pełne są palaczy marihuany, talibowie w Afganistanie wciąż kupują broń za pieniądze uzyskane ze sprzedaży narkotyków, a eksperci twierdzą, że największym rynkiem narkotykowym staną się wkrótce Chiny.

CZY LEGALIZACJA JEST DOBRYM ROZWIĄZANIEM?

Jednym z najlepszych sposobów na zrozumienie, dlaczego po przeszło 40 latach wciąż nie możemy wygrać tej wojny, jest prześledzenie szlaków, jakimi wędruje jeden z tych niepokonanych dotąd wrogów.

Weźmy na przykład kokainę. Jej historia zaczyna się w kolumbijskiej dżungli na plantacjach, gdzie uprawia się kokę. Stamtąd trafia ona do przemytników na karaibskiej wyspie Aruba, przenika przez sieć kontrolną wojskowych i policjantów, i w ładowniach statków handlowych wędruje przez Atlantyk do Europy. Wreszcie dociera do Berlina, gdzie kończy swą wędrówkę w mózgach tych, których potrzeby nieustannie nakręcają ten biznes – w mózgach konsumentów.

Żeby lepiej zrozumieć przyczyny tej przegranej wojny, warto również przemyśleć koncepcję, która może zmienić świat – koncepcję, którą rozważają prezydenci i inni wpływowi politycy i która analizowana jest w biurach Nowego Jorku. Koncepcja ta przewiduje regulowaną legalizację narkotyków.

Po dekadach wojny z narkobiznesem dążenie do znalezienia alternatywy jest silniejsze niż kiedykolwiek. Zaczynają się kruszyć odwieczne fronty tej wojny.

W kuluarach VI Szczytu obu Ameryk, który odbył się w kwietniu 2012 r. w Cartagenie w Kolumbii z udziałem 30 szefów rządów i głów państw mówiło się tylko o jednym: o nowej polityce wobec narkotyków. Prezydent Kolumbii Juan Manuel Santos zadeklarował: „Jeśli świat zdecyduje się zalegalizować narkotyki i uzna, że w ten sposób możemy ograniczyć przestępczość i przemoc, zastosuję się do tej decyzji.

Prezydent Gwatemali, generał Otto Perez Molina, napisał: „Konsumpcja i produkcja powinna być zalegalizowana, ale w pewnych granicach i pod pewnymi warunkami”.

Prezydent Urugwaju Jose Mulica powiedział: „Tym, co mnie przeraża, nie są narkotyki, ale handel narkotykami”.

Vicente Fox, prezydent Meksyku w latach 2000-2006, ogłosił „matkę wszystkich wojen” przeciwko zorganizowanej przestępczości i użył w tej wojnie regularnych oddziałów wojskowych. Dzisiaj Fox przyznaje, że ta wojna skończyła się totalną klęską.

Posiadanie małej ilości marihuany nie jest już przestępstwem w Portugalii. Po przestudiowaniu brytyjskiej narkopolityki niezależna komisja stwierdziła, że stosowanie sztywnych kar jest równie kosztowne jak nieskuteczne. Wprawdzie raport przygotowany przez tę komisję nie zaleca legalizacji, jednak wzywa do gruntownego przemyślenia polityki wobec narkotyków. Zdaniem autorów raportu ustawodawcy zbyt rzadko rozumieją, że używanie narkotyków nie zawsze rodzi problemy, posiadanie małej ilości narkotyków nie powinno być uważane za przestępstwo, a prowadzenie przez zwykłych użytkowników uprawy na własny użytek należy zdepenalizować lub wręcz zalegalizować.

NIEMIECKI LĘK PRZED NARKOTYKAMI

Nowy sposób myślenia zdobywa coraz więcej zwolenników. Jeśli tej wojny nie możemy wygrać, a wróg pozostał niepokonany przez ponad 40 lat, czemu nie spróbować bardziej pokojowych metod działania?

Jednak niemieccy oficjele zachowują chłodny dystans wobec nowych koncepcji. Żaden z przywódców głównych niemieckich partii politycznych nie zamierza wzywać do przyjęcia nowej polityki wobec narkotyków lub choćby do legalizacji marihuany. Narkotyki nie są popularnym tematem politycznych wystąpień, gdyż zbyt łatwo się na nich sparzyć.

Martin Lindner, zastępca przewodniczącego Wolnych Demokratów w Bundestagu, niemieckim parlamencie, wywołał ostatnio skandal, zapalając „jointa” podczas jednej z rozmów telewizyjnych. Dziennik Berliner Kurier informował o tym wydarzeniu w artykule pod tytułem „Czy Martin Lindner całkiem zbzikował?”

– Narkotyki są w Niemczech tematem tabu. Gdy ktoś próbuje naruszyć te sztywne zasady, natychmiast oskarża się go, że nie chroni interesów naszych dzieci – mówi Gerhard Baum, niemiecki minister spraw wewnętrznych w latach 1978-1982. Okres jego urzędowania nazywano w Niemczech „latami heroiny”. Wzrosła wtedy gwałtownie liczba uzależnionych, zdjęcia młodych „ćpunów” umieszczano na okładkach wielu pism, a w kinach wyświetlano „My, dzieci z dworca ZOO”.

OD LIŚCIA DO PROSZKU

Okres ten wpłynął decydująco na niemiecką politykę narkotykową i na to, co przeciętny Niemiec czuje, gdy mowa jest o narkotykach: przede wszystkim lęk.

Dla wielu ludzi wezwania do legalizacji brzmią jak zachęta do brania i uzależniania się; oznaczają również kapitulację kraju, który nie wywiązuje się właściwie ze swoich funkcji ochronnych.

Niewielu Niemców dostrzega w regulowanej legalizacji to, co widzą w niej eksperci i niektórzy prezydenci, czyli skuteczniejsze narzędzie do walki z narkotykami. Narzędzie użyteczne nie tylko w pracy z użytkownikami, ale przede wszystkim przerywające łańcuch dostaw, które czynią z upraw, przetwórstwa, przemytu i sprzedaży biznes wart miliardy dolarów. Celem jest zniszczenie systemu, narkotykowej gospodarki.

Lasy deszczowe prowincji Putumayo w południowo-zachodniej Kolumbii są dla kokainy tym, czym Nowy Orlean jest dla jazzu, a Maranello, siedziba koncernu Ferrari, dla szybkich samochodów – to miejsce owiane legendą. Koka jest uprawiana w

Putumayo od 1974 r. To pierwszy region w Kolumbii, w którym zaczęto uprawy i ostatni – jak twierdzą mieszkańcy – który z upraw koki zrezygnuje.

Carlos Sanchez, szczupły mężczyzna ze zmierzwionymi wąsami stoi przed krzakiem koki – niepozorną, sięgającą mu do ramion rośliną o czerwonej korze i zielonych liściach. – To moja koka – mówi Sanchez z typową dla farmerów dumą w głosie. Na leżącej przed nim łacie rosną setki takich krzaków. Plantacja zajmuje obszar o powierzchni ok. jednego hektara.

W dobre lata kokainowe żniwa mogą się odbywać nawet 6 razy do roku. Liść koki zawiera 0,5% kokainy. – Każdy idiota może wyhodować krzaki – mówi Sanchez, podchodząc do konia i odpinając od siodła dwa zbiorniki z benzyną. Będzie jej potrzebował w laboratorium. Jutro ma przyjechać ktoś z miasta po kilogram pasty kokainowej. Słowo „laboratorium” to jednak przesadnie eleganckie określenie dla tego, co Sanchezowi udało się sklecić: drewnianej, cuchnącej benzyną szopy, w której 200 kilogramów liści koki czeka na przeróbkę.

Żeby z liści koki otrzymać czysty narkotyk, trzeba wykonać dwa kroki. Najpierw z liści wytwarza się pastę, po czym pastę przetwarza się w czystą kokainę.

Sanchez bierze przycinarkę i zanurza ją w gąszczu liści. Potem skrapia zebrane liście mieszanką cementu i nawozu, ładuje je do dużych kadzi i zalewa benzyną, żeby wyekstrahować z nich substancję czynną. Po dłuższej chwili usuwa liście i wyciska z nich brązową pulpę, którą neutralizuje sodą i poddaje osuszeniu. Pasta kokainowa zawiera ok. 35% czystego narkotyku.

Następny etap produkcji odbywa się w zupełnie innym, ściśle chronionym laboratorium, do którego Sanchez nigdy nie będzie miał wstępu. Jednak ten etap produkcji jest tylko trochę bardziej skomplikowany. Odbywa się przy użyciu kwasu solnego, alkoholu, amoniaku, acetonu i kilku prostych urządzeń. Żaden z potrzebnych związków, ani żadne z urządzeń nie jest specjalnie

kosztowne, ani trudne do zdobycia. Prawdopodobnie najbardziej skomplikowany jest piec mikrofalowy, w którym pastę poddaje się osuszeniu. Produktem końcowym jest chlorowodorek kokainy lub narkotyk w czystej postaci. W dobrym laboratorium dobrze wyszkolony zespół może wyprodukować 500 kilogramów kokainy dziennie.

Każdy mieszkaniec Putumayo wie, że pieniądze nie są jedyną monetą, którą się płaci w narkobiznesie. – Straciłem dwóch braci – mówi Sanchez. – Jednego zastrzelili lokalni partyzanci, a drugiego handlarz narkotykami. Pomimo zagrożeń pieniądze pozostają najważniejszą zachętą. – Płacą mi 1,5 miliona peso (ok. 2,5 tys. zł) za kilogram – mówi Sanchez.

BEZSENSOWNA WOJNA?

1,5 miliona peso za kilogram to niezły zarobek, ale to tylko początek nieporównywalnej z niczym innym spirali cen. Czysta kokaina kosztuje w Putumayo ponad 5 tys. złotych za kilogram, a na granicy Kolumbii jej cena rośnie do ponad 17 tys. Na pobliskiej Jamajce kilogram kosztuje już niemal 25 tys. Kokaina staje się naprawdę droga, gdy dociera do Europy lub Stanów Zjednoczonych, gdzie handlarze liczą sobie ok. 120 tys. złotych za kilogram, w zależności od sytuacji na rynku.

Europejski użytkownik, który zwykle otrzymuje kokainę wymieszaną z tzw. wypełniaczami, nie płaci wszędzie tyle samo. Narkotyk jest np. tańszy w Hiszpanii niż w Niemczech, a w Berlinie jest tańszy niż w Monachium. Aktualna stawka w Niemczech wynosi ok. 450 złotych za gram kokainy zanieczyszczonej, a kilogram kokainy oczyszczonej może kosztować nawet 1,7 miliona złotych!

– Żaden inny towar na świecie nie sprzedaje się z tak ogromną marżą, jak kokaina i heroina. Dlaczego? Z powodu prohibicji.

Słowa te wypowiedział Etan Edelman, 55-letni syn nowojorskiego rabina. Etan studiował na Harvardzie, a potem wykładał na Uniwersytecie Princeton. Dzisiaj uważany jest za

jednego z najpoważniejszych ekspertów narkotykowych w Stanach Zjednoczonych. Jest szefem „Przymierza na rzecz Polityki Narkotykowej” – organizacji, która walczy o przyjęcie nowej polityki wobec narkotyków. Jej głównym sponsorem jest George Soros, bogacz, biznesman i inwestor, którego majątek szacuje się na ok. 20 miliardów dol., co czyni go jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

Biuro Nadelmanna na 15 piętrze wieżowca na Manhattanie pełne jest książek noszących tytuły takie jak Alkohol w Ameryce lub Kokaina – biografia nieautoryzowana. Przez ostatnie 25 lat Nadelmann wygłaszał wykłady, pisał książki i występował jako ekspert w głównych stacjach telewizyjnych, takich jak NBC, Fox lub CNN.

– Narkobiznes to czysty kapitalizm – mówi Nadelmann. – Jak długo będzie popyt, będzie i podaż. Oczywiście, możemy się starać wyeliminować popyt. Wystarczy przekonać 200 milionów użytkowników narkotyków, żeby przestali kupować trawkę albo prochy. Ale czy jest na to jakaś szansa?!

Organizacja narodów Zjednoczonych zdawała się wierzyć, że jest taka szansa. Do roku 2008 jej celem było „wyeliminowanie lub znaczące ograniczenie” produkcji i handlu narkotykami. Hasło prowadzonej przez ONZ kampanii brzmiało: „Świat wolny od narkotyków jest możliwy!”. Dzisiaj, w 2013 r., świat jest tak samo wolny od narkotyków, jak tzw. Fixerstube (pokoje dla narkomanów [2]) w okolicy dworca kolejowego we Frankfurcie nad Menem.

Nadelmann od 25 lat uważa, że wojna z narkotykami jest bezsensowna i od 25 lat nawołuje do kontrolowanej legalizacji. Jego wysiłki były dotąd zupełnie bezowocne. Wreszcie jednak wydaje się, że coś się może zmienić. – Boom!!! – mówi Nadelmann.

NA FRONTACH WOJNY

Carlos Sanchez, hodowca koki z Putumayo spędził całą noc,

produkując pastę kokainową. Człowiek, który ma przyjechać po towar, zawiezie pastę do Ekwadoru, do strzeżonego laboratorium, gdzie uzyska się z niej czystą kokainę.

Jeśli wszystko przebiegnie gładko, kokaina rozpocznie swą podróż zaraz po opuszczeniu laboratorium. W ciągu ostatnich 40 lat nie było zapewne drogi, nabrzeża, rzeki lub pasa startowego w północnej części Ameryki Południowej, których nie użyłoby do przemytu narkotyków.

Klasyczny szlak prowadzący do Stanów Zjednoczonych przebiega przez Meksyk. Droga do Europy jest nieco trudniejsza. W ostatnich latach utworzono wprowadzić nowy szlak przez Afrykę Zachodnią, ale większość przemytu idzie drogą tradycyjną przez Karaiby albo samolotem z Brazylii, Kolumbii lub Argentyny. Duże partie towaru wysyłane są drogą morską. Portami docelowymi są na ogół miasta w Hiszpanii i Holandii, ale ostatnio znaleziono 8 ton kokainy, warte pół miliarda euro, w pełnym bananów kontenerze w belgijskiej Antwerpii.

Jeśli nie wszystko przebiegnie gładko, narkotyki wejdą w posiadanie niskiego, krępego mężczyzny, który w swoim zielonym kombinezonie wygląda jak ogrodnik.

Generał Luis Alberto Perez (53 l.) jest szefem brygad antynarkotykowych w kolumbijskiej policji. Generał jest w bardzo dobrym nastroju, gdyż jego ludzie przejęli właśnie 1,8 ton kokainy w jednej z wiosek na wybrzeżu Atlantyku. Tego poranka Perez przyleciał samolotem z Bogoty. Teraz stoi na scenie zbudowanej na podwórzu siedziby policji w Riohacha.

– Zadaliśmy ciężki cios pladze, która opanowała nasz kraj – mówi przez mikrofon do grupy dziennikarzy.

Ludzie Pereza rozrywają kilka paczek z kokainą. – Najwyższa jakość – stwierdza oficer policji, uśmiechając się na widok symbolu widocznego na opakowaniu sprasowanego proszku.

Każde laboratorium ma własny symbol, czy też etykietę, która

umożliwia identyfikację miejsca, z którego pochodzi dana partia towaru. Informacja ta jest szczególnie ważna, jeśli ktoś ma zastrzeżenia do jakości narkotyku. – Wszystko wskazuje na to, że oni bardzo lubią niemieckie samochody – mówi generał Perez. Logotyp Audi widoczny jest na każdej z półtora tysiąca paczek z kokainą.

W 2012 r. Perez przejął ponad 72 tony kokainy, co stanowi ok. 9% całej produkcji. Rozbił ponadto 1,2 tys. laboratoriów, w których narkotyk produkowano, przechwycił 400 łodzi i 150 małych samolotów. Jego ludzie zniszczyli 22 pasy startowe i aresztowali 76 tys. osób.

Perez i jego ludzie nie są tani. Kolumbia przeznaczająca ok. 15% budżetu na siły bezpieczeństwa: na policję i wojsko. Generał ma do dyspozycji czołgi i helikoptery Black Hawk. Funkcjonariusze brygad antynarkotykowych w Kolumbii są wyposażeni jak dowódcy zbrojnych band. – Robimy postępy! – mówi Perez.

Autorzy: Jochen-Martin Gutsch, Juan Moreno

Tłumaczenie: Andrzej Dominiczak

Źródło oryginalne: „Der Spiegel” nr 8/2013

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

Opublikowano we współpracy z Międzynarodowym Programem Polityki Narkotykowej w Open Society Foundations

PRZYPISY

[1] Przydomek „Popeye” nawiązuje do bohatera komiksu i filmu animowanego pod tym samym tytułem. Popeye to marynarz o dobrym sercu i porywczej naturze.

[2] Istniejące w kilku niemieckich miastach specjalne pomieszczenia, w których osoby uzależnione mogą w higienicznych warunkach, bezpiecznie i legalnie zażywać narkotyki.